

8.12.2007

Sztuka w kapitalizmie

Kłęska PiS nie oznacza końca sztuki politycznie zaangażowanej. Świat korporacyjnego kapitalizmu, przeciw któremu artyści buntowali się dużo wcześniej, nim PiS doszedł do władzy, nie stał się nagle bardziej sprawiedliwy - pisze Roman Pawłowski w Gazecie Wyborczej.

Jednym z ubocznych i całkiem niezamierzonych efektów dwuletnich rządów partii braci Kaczyńskich był renesans zaangażowanej sztuki i satyry politycznej. Ci, którzy pamiętają okres stanu wojennego i ówczesną kulturę niezależną, mogli się poczuć jak w wehikule czasu - wróciła polityczna aluzja i dowcipy, w teatrach pojawiły się przedstawienia antyrządowe, a w galeriach akcje polityczne. Powróciła też cenzura, ubrana w kostium troski o publiczną moralność i uczucia religijne. Przeniesienie walki politycznej na pole kultury było logicznym następstwem działań władzy, która właśnie w sferze nadbudowy przejawiała największą aktywność, czego przejawem była "polityka historyczna" PiS czy prowadzone przez koalicjantów z LPR akcje przeciw "nieobyčajnym" wystawom. Swoimi działaniami rządzący prowokowali artystów, którzy poczuli, że polityka wkracza na ich pole. I nawet jeśli nie chcieli, musieli się angażować, aby obronić własną autonomię. Zaskakująca okazała się skala zjawiska, które objęło praktycznie wszystkie dziedziny kultury i wszystkie media. Do polityki odwoływali się zarówno twórcy kultury popularnej, jak i wysokiej. Hiphopowiec Duże Pe wyrapował swój protest przeciw zmianom w młodzieżowym radiu BIS ("Szczerwany lis nasłany przez PiS"), zespół Big Cyc nagrał interwencyjną płytę "Moherowe berety" (jedna z piosenek opowiadała o tajnym planie klonowania polityków PiS). Z drugiej strony Piotr Cieplak wystawił w warszawskim Teatrze Powszechnym współczesną wersję "Wesela" pod tytułem "Albośmy to jacy, tacy..." [na zdjęciu scena ze spektaklu], w której obok tekstu Stanisława Wyspiańskiego wykorzystał cytaty z artykułu Adama Michnika z "Gazety" poświęconego lustracji oraz listę roślin chronionych z Doliny Rospudy.

Milczenie przerwał nawet Krystian Lupa, który wcześniej nie angażował się w aktualne

spory polityczne. Wybitny krakowski reżyser teatralny nie wystawił co prawda spektaklu politycznego, ale zabrał głos na łamach "Tygodnika Powszechnego" w dyskusji na temat lustracji w środowisku akademickim. Z kolei znana z akcji politycznych Radykalna Akcja Twórcza z Gdańska umieściła na jednym z billboardów w Wilanowie plakat z portretami braci Kaczyńskich i ojca Rydzyka oraz hasłem "Jeden naród, jeden Kościół, dwóch wodzów" (wcześniej odrzucony przez organizatorów biennale w Muzeum Plakatu).

Szczególną rolę w odrodzeniu kultury zaangażowanej odegrał internet, w którym zaroilo się od stron z politycznymi żartami, filmami i komiksami. Najślynniejszą - chomiks.com - odwiedzało do 100 tys. osób miesięcznie. Nawet do miliona odsłon miały satyryczne filmy o IV RP zamieszczane w serwisie You Tube. Do najpopularniejszych należał cykl "Muppet Sejm" (przygotowywany przez redaktora "Gazety" Dariusza Ćwiklaka), w którym bohaterowie popularnego amerykańskiego serialu lalkowego mówili głosami polskich polityków. Orzeł Sam przemawiał głosem Romana Giertycha, Żaba Kermit - Jana Rokity, Miss Piggy - Renaty Beger, a para zgorzkniałych staruszków powtarzała slogany braci Kaczyńskich, m.in. słynne zdanie: "Nikt nas nie przekona, że białe jest białe, a czarne jest czarne".

Barwni politycy z Samoobrony, LPR i PiS sami dostarczali znakomitego materiału do satyry politycznej w postaci wpadek, bon motów, źle ukrywanych emocji i uprzedzeń.

Z Platformą będzie trudniej

Kiedy jednak PiS poniósł porażkę wyborczą, w ciągu jednej nocy większość twórczości zaangażowanej straciła aktualność. Nie dlatego, że była zła - po prostu przestała pełnić swą funkcję. Autor "chomiksów" Artur Kurasiński po ponad 400 odcinkach ogłosił koniec działalności i pożegnał się z internautami, Ćwiklak zapowiedział pożegnalny odcinek "The Best of Muppet Sejm". Szymon Majewski w swoim show telewizyjnym próbował jeszcze przez jakiś czas kpić z Leppera, Wierzejskiego i posłanki Hojarskiej (którzy rzekomo przeniknęli do nowego Sejmu w przebraniu), ale wkrótce musiał zrezygnować ze swoich ulubionych bohaterów i przerzucić się na Tuska i Pawlaka. Niestety, nowi rządzący okazali się zupełnie nieśmieszni.

Cezurą stała się premiera "Szewców u bram" - autorskiej adaptacji "Szewców" Witkacego, którą w TR Warszawa przygotowali reżyser Jan Klata i szef "Krytyki Politycznej" Sławomir Sierakowski. Obaj odczytali Witkacego przez pryzmat polityki ostatnich dwóch lat, opartej na podsłuchach i zastraszaniu. Prokurator Scurvy, który u Witkacego terroryzuje szewców, w przedstawieniu został ucharakteryzowany na ministra Ziobrę. W scenie rozmowy z Sajetanem Tempe, przywódcą szewców (którzy w przedstawieniu stali się pracownikami

supermarketu), rozbierał się do gatek, by uniknąć podsłuchu.

Premiera odbyła się 11 listopada, trzy tygodnie po wyborach, i trafiła na zupełnie inne nastroje niż te, które towarzyszyły próbom do spektaklu. Metody Scurvy'ego - Ziobry już nie przerażały, jedynie śmieszyły, a on sam wydawał się żalostną, groteskową figurą jak pewien znany dyktator parodiowany przez Charliego Chaplina. Twórcy spektaklu przekonywali co prawda, że ich intencje sięgały dalej, że szło im o pokazanie rewolucji w epoce postpolitycznej, kiedy żaden bunt nie jest możliwy, bo władza sama tworzy własną opozycję. Ale na scenie odniesienia do niedawnych rządów PiS przestąpiły krytykę całego systemu politycznego, który dusi w zarodku każdą próbę zmiany.

Po przedstawieniu część recenzentów ogłosiła z ulgą koniec teatru politycznego. "Runęła na pysk cała koncepcja nowego polskiego teatru politycznego. Skończyła się epoka teatralnej wojny z PiS" - stwierdził Łukasz Drewniak na łamach "Przekroju", dodając, że PiS był przeciwnikiem stosunkowo łatwym do punktowania. "O wiele trudniej będzie się boksować z Platformą. A boksować, tak czy siak, będzie trzeba. Bo przecież teatr musi być zawsze przeciw".

Jeszcze dalej poszedł Tomasz Plata w "Dzienniku", który ogłosił "śmierć mitu Teatru Rozmaitości". "Najważniejsza rodzima scena ostatnich lat legła pod ciężarem własnego zaangażowania politycznego" - pisał, zarzucając Klacie i Sierakowskiemu instrumentalne wykorzystanie teatru: "Teatr zaprzęgnięty do bieżącej polityki staje się teatrem pustym".

Nowy, wspaniały świat

Czy rzeczywiście mamy do czynienia z końcem zaangażowanego teatru i szerzej - kultury? Jeśli, wzorem Drewniaka i Platy, rozumieć sztukę polityczną jako sztukę partyjną - realizującą interesy ideologiczne jakiegoś środowiska politycznego, "boksującą się" z politycznym przeciwnikiem - to rzeczywiście taka sztuka nie ma sensu. Zwłaszcza, kiedy na ringu zabrakło sparringpartnera.

Jeżeli jednak rozumiemy zaangażowanie szerzej - jako obywatelską powinność artysty wobec społeczeństwa, jako postulat włączenia kultury w debatę publiczną w poczuciu odpowiedzialności za wspólnotę - to dla sztuki politycznej dopiero dziś otwierają się perspektywy. Zwycięstwo liberalnej Platformy Obywatelskiej wcale nie zdejmuje z artystów obowiązku diagnozowania rzeczywistości. Przeciwnie, teraz właśnie, nieobciążeni bieżącą walką o własną niezależność, mogą zająć się źródłami konfliktów społecznych, które wynoszą do władzy takie czy inne ugrupowania.

Podobną funkcję pełniła nowa polska dramaturgia przed rokiem 2005. Na długo zanim Jarosław Kaczyński podzielił Polskę na liberalną (czyli beneficjentów kapitalizmu) i solidarną (czyli wykluczonych), polscy autorzy przedstawiali w swych sztukach problem rozwarstwienia społecznego i narastającej frustracji. Znajdziemy go w "Made in Poland" Przemysława Wojcieszka - historii młodocianego anarchisty z legnickiego blokowiska, który, nie znajdując dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości, postanawia podpalić świat. I w sztuce Pawła Demirskiego "From Poland with love", opowiadającej o młodym pokoleniu Polaków skazanych na emigrację zarobkową. Przyszły elektorat PiS, żyjący w syndromie obłożonej twierdzy, pokazał Tomasz Kaczmarek w grotesce "Matka cierpiąca" - portrecie rodziny zastraszonej przez dominującą matkę i odciętej od świata zewnętrznego. W sztuce Marka Pruchniewskiego "Pielgrzymi" autokarowa pielgrzymka po sanktuariach Europy stawała się metaforą postkomunistycznego społeczeństwa, które wchodzi do Europy z bagażem lęków, uprzedzeń i stereotypów.

W teatrze takim sejsmografem zapowiadającym bliskie trzęsienie ziemi były przedstawienia Jana Klata, któremu udało się przeczuć i nazwać konflikty drzemiące pod powierzchnią życia społecznego. Jako pierwszy poruszył problem korupcji w debiutanckim "Rewizorze" Gogola z 2003 r., umieszczonym co prawda w realiach epoki gierkowskiej, ale zakończonym serią portretów polityków III RP. W zrealizowanej rok później "...córce Fizdejki" według Witkacego wy dobył temat sentymentów antyniemieckich, który wkrótce miał trafić na czołówki gazet w związku z nową polityką Kaczyńskich. Natomiast w "Fanta\$y", wystawionym w Gdańsku jesienią 2005 r., tuż przed wyborami, Klata zderzył dwie Polski - z jednej strony Polskę Fantazego i Idalii, młodych, zamożnych beneficjentów przemian, z drugiej Polskę Respektów, zubożałych wykształciuchów żyjących w blokowisku, których życie koncentruje się wokół sklepu, lombardu i kolektury totolotka.

Z innej strony nowe polskie problemy pokazywał Krzysztof Warlikowski. Znamienna była inscenizacja "Burzy" Szekspira z 2004 r., w której centralnym tematem reżyser uczynił gorzkość i rozczarowanie wolnością. W postaci Kalibana - niewolnika, który wyzwala się spod władzy Prospera, by następnie obrócić się przeciw swemu opiekunowi - można było dostrzec metaforę społeczeństwa, które wypuszczone na wolność nie potrafi z niej skorzystać i pogrąża się w destrukcji. Słynne słowa córki Prospera, Mirandy o "nowym, wspaniałym świecie" brzmiały w tym kontekście jak gorzka ironia.

A Kaliban tańczy

Gdyby w minionych latach elity polityczne częściej chodziły do teatru, Kaczyńscy mieliby trudniejsze zadanie. Nie byłoby tak łatwo grać na nierównościach i frustracjach

społecznych, ponieważ zostałyby wcześniej ujawnione i zdiagnozowane. Teatr pod tym względem wyprzedzał debatę publiczną, która w początku nowego wieku skupiała się na walce o wejście Polski do Unii Europejskiej i przekonywaniu eurosceptyków. Sygnalizował problemy i pola konfliktów, które dopiero w ostatnich dwóch latach rozlały się na cały kraj. Niestety, mało kto przywiązywał do tego uwagę.

Dzisiaj potrzeba sztuki jako sejsmografu staje się jeszcze bardziej paląca. Mylne jest bowiem przekonanie, że wraz ze zmianą władzy zniknęły problemy, jakie wydobyły na jaw dwa lata rządów PiS. Szewcy z przedstawienia Klaty i Sierakowskiego dalej przesuwają tam i z powrotem palety na zapleczu gigantycznego sklepu z elektroniką, nie bardzo rozumiejąc, po co i dla kogo właściwie pracują i żyją. Emigracja zarobkowa nie skończy się w ciągu jednego dnia. Pozostało także 5 mln wyborców PiS, którzy znów czują się odsunięci na boczny tor. Świat korporacyjnego kapitalizmu i globalnej gospodarki nie stał się z dnia na dzień bardziej sprawiedliwy. Kaliban nadal tańczy swój pijany taniec, krzycząc: "Wolność, wolność!".

Konieczna jest dziś, jeszcze bardziej niż kiedyś, głęboka analiza rzeczywistości społecznej. Taka, jaką dla Republiki Weimarskiej stanowiły dramaty Bertolta Brechta czy dla Francji epoki Restauracji powieści Balzaca. Sztuka bowiem może nam powiedzieć nie tylko, jacy jesteśmy, ale też, jacy moglibyśmy być. Tego politycy nigdy nam nie zdradzą.

Tytuł oryginalny

Jaka sztuka w kapitalizmie

Źródło:

Materiał nadesłany

Gazeta Wyborcza nr 287

Autor:

Roman Pawłowski

Data:

08.12.2007